Rok siódmy. 1 Marca 1848 r. Nr. 7.

Wydawca Redaktor Hippolit Skimborowicz

PRZEGLĄD NAUKOWY

BAZGRANINA EX-AUTORKI.

(*Dalszy ciąg*)

Niezrażony odpowiedziami Czesław, ciągnął daléj pogadankę z Hieronimem:

„Kiedyś już taki wybrydny w tym względzie — nieuchylisz się przynajmniéj od bratnich uścisków wesołego towarzystwa; jeden z moich znajomych wydaje dziś hulankę na swoje imieniny — pojdziesz ze mną Czesławie bom przyrzekł że cię przyprowadzę; — niepożałujesz; zacną tam młodzież spotkasz — będą i karty — grasz w sztosa?"

„W żadną grę niegram."

— „Niepodobna"

Roześmiał się Czesław — Hieronim mówił:

„Pójdziemy więc; obaczyśz co to za wesoła młodzież! jedyni do zabawy, oni to żyć umieją!"

— Widziałem już pijanych — odparł Czesław.

— Ale — dodał niezrażony Hieronim — będą tam ludzie światli, poeci — usłyszysz improwizacye, niech tylko rozochocą się biesiadnicy.

— „Improwizacye przy hałasie biesiady i kart szeleście? — teraz przekonywam się że sobie żartujesz ze mnie.”

„Człowieku! zkąd ty przybywasz — zawołał Hieronim — więc tobie wszystko obce, tyś nieświadom ludzi i życia — a przytém wcale nie ciekawy poznać ich i przyjrzyć się im zbliska.

— Owszem radbym poznać ludzi — ale nietakich Hieronimie.

— Złych zapewne, głupich — przewrotnych — nikczemnych?

— Przeciwnie — mądrych, zacnych — wszak o tych mi nie nadmieniłeś.

— I z tego poznania mądrych, wróżysz sobie szczęście, pomyślność, dostatki — bo na cóż ci szukać mądrości, tobie! młodemu? kiedy młodość jest szałem, a szał to nie mądrość — chyba dla jakich odległych widoków, korzyści?

— Słuchaj — Hieronimie — niedawno się znamy. Ojciec mój umieścił mię przy tobie, szanuję wolę ojca. Jesteś mi krewny przez matkę, radbym cię przeto poważał. Lecz aby nadal niewznawiać podobnych rozmów, gdy czas na lepsze użycie służyć winien; oświadczam ci, że mojém zdaniem mądrość każdemu wiekowi przystoi — że właściwa i dostępna jest każdemu kto w nią wierzy. Czy zaś młodość jest szałem? tego powiedzieć niemogę; ojciec mówił mi o waleczności i zapale starców wśród bitew — sądzę że więcéj i młodość by niedokazała.

Szczęście zaś, panie Hieronimie! — szczęścia większego świat mi nie da nad to, którem znał pod rodzicielskim dachem — już nawet niespodziewam się nic równego... i nie skarżę na to — miałżebym ja jeden wymagać dla siebie tego — na czém milionom bliźnich zbywa?

„Tyś poczciwych rodziców dziecię! dobréj krwi potomek — wybacz — ale już takie moje nawyknienie, nigdy ludziom o cnocie nierozprawiać. Chciałbym wszakże pozyskać twoją przychylność...

I Hieronim uścisnął Czesława — a w oczach jego błysły dwie łzy, którym przecież niedozwolił na wierzch się wydobyć.

GAWĘDA.

Powiedz mi Czesławie — zapytał po chwili wzruszenia Hieronim, jak ty sobie wyobrażasz świat i ludzi? Czy wiesz na co stworżeni i po co żyją? gdzie dążą? — i dla czego więcéj złych jak dobrych?

— Ha! pomyślał Czesław; on mię tu koniecznie chce wyspowiadać z mych uczuć i pojęć — i odezwał się głośno: — Jakże chcesz abym uważał ludzi? jeżli nie jak braci stworzonych równie jak ja na obraz i podobieństwo boskie? — żyjących ku udoskonaleniu duszy — dążących do nieba... czy zaś więcéj jest złych jak dobrych? — tego ja niewiem.

— Ale ja wiem dobrze o tém, żyję dłużéj niż ty Czesławie i widziałem tak wiele złych czyli głupich — a bardzo mało dobrych czyli mądrych... iż wyprowadziłem ten z mych spostrzeżeń wniosek, że mądrość nie jest konieczną metą człowieczeństwa.

— A cóż będzie ową metą, Hieronimie?

— Smierć.

— Tylko? więc niema mądrości, cnoty, poświęceń na ziemi?

— Marzenia, mój bracie; sny, urojenia młodéj głowy.

— Urojenia! byłżeś ty kiedy młodym?

Byłem, i podobnież roiłem niestworzone rzeczy.

— Roiłeś! niebluźń, Hieronimie. Wszystko co nazywasz snem młodości, jest, *trwa* żyje w duchu człowieka. O! przeczucia pierwotnych dni życia, kiedy duch w całéj pełni dojrzeje i rozwinie skrzydła do lotu, — przeczuwanie wielkości; doskonałości, święte uniesienia duszy — nie są kłamstwem, nie! Kłamcy, którzy temu przeczą! a nikczemni co w to niewierzą! nikczemni! — nigdy niedojrzeli duchem, nigdy się pod tchnieniem Boga nierozwinęli.

— A! nieźle improwizujesz — cóż daléj?

— Żałuję ciebie i wszystkich podobnie zwątpiałych.

— Bien obligé — odrzekł Hieronim, lecz teraz posłuchaj mię nawzajem:

Spodziewasz się zapewne że pracą twoją przyłożysz się do dobra ogółu — bajki! mój bracie. Sądzisz może iż dobrém, przykładném życiem zbudujesz bliźniego?..

Bajki...... zyskasz nienawiść i szyderstwo — nic zaś więcéj — Albo mniemasz że poszukiwaniem mądrości dojdziesz do sławy, wielkości, uczczenia.... po trzykroć omylisz się mój miły — niedojdziesz do niczego.

— Nierozumiem ciebie! — więc ty chcesz abym ja niebył sobą i nieuczynił tego co mi z wrodzonych usposobień czynić wypada, żebym szedł wbrew mym dobrym skłonnościom — i dla czego? czy innemi drogi pomyślniejszych dojdę wypadków?

— Widać żeś mię niezrozumiał — niewymagam bynajmniéj abyś nicował swego ducha, lecz życząc ci bardzo dobrze, prawie bratnią powziąwszy do ciebie przychylność — chciałbym abyś na pierwszym wstępie w świat, niewydawał się cudzoziemcem w towarzystwie ludzkiem — i żebyś niewiadomością niegrzeszył przed bliźnimi — jak się to mnie przydarzyło niegdyś.

— Wiesz co Hieronimie — mnie się zdaje że owe nieustanne szemrania na ludzką przewrotność, są tylko zastarzałym gderania nałogiem — z którego otrząsnąć się jużby czas — nam, dzieciom postępu i oświaty.

Rozsmiał się na całe gardło Hieronim. — Ja ci najwyraźniéj dowiodę — rzekl — iż to co nazywasz postępem i oświatą — jest jak najdokładniejszy politeizm.

— Co? co?

— Politeizm. Wszak rozumiesz po grecku?

— Ale tego zrozumieć nie mogę.

Hieronim, zawrócił się po pokoju, wziął kalendarz, zobaczyl, który to dzień w miesiącu, dobrze, powiedział sam do siebie, imieniny u JW. Kołowickich — a spojrzawszy na zegar, dodał: jédenasta, czas na mszą elegancką do Pijarów — Czesławie! bądź łaskaw chodź ze mną na parę godzin tylko. — I wyszli.

POWRÓT.

Po trzeciéj godzinie z południa Czesław wrócił wraz z Hieronimem. — Pierwszy znużony, zasępiony — drugi obojętny jak zwykle.

Słońce dopiekało jak najmocniéj — utrudzenie też czuć się dało obudwom; Hieronim zapuścił zielone okien zasłony i spoczął na sofce.

— Siadaj przy mnie Czesławie — tu trochę wygodniéj jak u JW. Kołowickich, a chłodniéj niż w tłumie nabożnych.

Żałuję żem niemiał cudownego szkiełka pani Girardin, byłbym ci go pożyczył — wiele myśli, ciekawych rzeczy, dowiedziałbyś się zapewne.

— W kościele bawić się nieumiem — dla modlitwy uczęszczam do domu bożego, równie jak i wszyscy.

— *Jak wielu*, to ci pozwalam, lecz jak wszyscy — to nieprawda! — Uważałeś te postrojone kobiety — owych wyrękawiczkowanych, wyfryzowanych, woniejących mężczyzn — po cóż oni przyszli?

— Modlić się.

— Gdzie tam! kobiety, aby pokazać piękną kibić, ładne oczy, drobną rękę — i wytworny ubior. — Męczyżni żeby się *pokazać* w całéj okazałości — i posłuchać śpiewu. O Bogu, o bliźnich nie było wzmianki.

Uważałeś jak koło ławki, gdzie siedziała śliczna młoda osoba w bieli — zręcznie manewrowala młodzież aby ją obaczyć. Biedaczka! naraziła się na natręctwo bezbożników — ale po co też przyszła na mszę elegancką — tyle jest w Warszawie Kościołów!

Wszak potrąciłem cię, pokazując ciekawe roztargnienie z jakiem błądziły żywe oczy kilku osóbek po prawéj siedzących stronie? A gdybyśmy też wspomnionem już cudowném szkiełkiem przejrzeli ducha modlitwy tych nabożnych osób, wyczytalibyśmy u jednéj: *O Panie żeby też mąż mój dostal wyższy urząd!* U drugiéj:

daj Panie memu synowi dobre ożenienie! — U innych — *jak ten krawiec niedogodnie zrobił tę suknią!* — Albo: *o czemuż to ja niemogę trzymać powozu jak pani Z.* — Lub też — *szczęśliwa! jaką świetną dostaje wyprawę!* — I daléj — *czemuż to ja niemam tylu wielbicieli!* — O mężczyznach niemówię, oni się niemodlili — lecz myśl ich zapewne była albo w cukierni lub na polowaniu — a może przy kartach... lub Pan Bóg ich tam raczy wiedzieć. — A cóż czy to nie *bałwochwalstwo*?

— Uważałeś — jak wychodząc z kościoła, wszyscy mieli wyraz zupełnego zadowolenia z siebie; jak wracając z domu bożego, gdzie słuchali Ewangielii — jeden na drugiego z ważną miną z góry poglądał. Wedle mniemań własnych, każdy był najlepszy, najzacniejszy — zaiste, to nazwiesz braterstwem, doskonałością? U j. w. Kołowickich — suto, szumno, po pańsku. Dom to starodawny, możny, *tradycyonalnie* gościnny — i niby dobremi zasadami przejęci mieszkańcy.

Zwróciłem twą uwagę na rodzaj przyjmowania uprzejméj gospodyni. — Jeśliś kiedy niewidział uśmiechu we wszelkich jego odcieniach — jeźliś niesłyszał głosu niewięściego we wszystkich intonacyach, toś miał obecnie bardzo dobre pole do spostrzeżeń. Nie tylko znajomi dostojnego solenizanta, lecz i krewni, bogaci z grzeczności; ubodzy ze czci i potrzeby, składali życzenia — widziałeś? Mnie dziwakowi wiele służy przywilejów w domach do których uczęszczam — tom się też zatrzymał aby ci pokazać komedyą uprzejmego przyjmowania ludzi. —

Uśmiechy i dzwięczne odezwy były dla dostojnych, znajomych i krewnych; ćwierć uśmiechu i pół-dzwięczna mowa stosownie do stopnia gościa; niby uśmiechy i niby przyjazne wyrazy, także kątowe krzesełka, dla ubogich krewnych — ubodzy znajomi szcześciem przyjść się nie ważyli. — To samo się działo z kąskami świetnego śniadania, to samo nawet z miną lokaja — nie każdemu z jednakowym usługiwał pośpiechem. Otóż to jest gościnność — od święta; znajdziesz dzięki postępowi i na wsiach podobną- Żeby zaś ta wielka cnota niespowszechniała — na dzień powszedni jéj nieużywają.

Tu jeszcze zachowujemy Persów tradycye; pierwiastek złego dobrego Ariman i Ormuzd, znaleźli pokłonników. Dobre, — to jest dostatki — mnóstwo ma czcicieli. — Złemu, które wyobrażają: przewrotność — podłość — jeszcze niżéj bo z obawą, *trwogą* najboleśniejszą, najstraszliwszą własnością jaką Twórca obdarzył ducha ludzkiego — z trwogą — kłaniają się Arimanowi.— Wiesz co jest fetiszizm? — Oddawanie czci rzeczom żyjącym i nieżyjącym — o jakże wielu znam zwolenników fetiszizmu! ileż to kobiet, ilu mężczyzn; — stronników zaś mądrości — jeszcze niewidziałem.

Przekonać cię także winienem że przytém mamy podział na kasty.

— Przestań Hieronimie! proszę cię przestań, rzekł Czesław błagalnie — wszystko co jest, dobrze jest, z wyroków Opatrzności.

— Na najlepszym ze światów — dokończył Hieronim. Ale ten dobry podział na kasty, na ten raz nie z Opatrzności wypadł wyroków. — To Ariman wszech-władnie światem rządzący. I przyniósł Czesławowi jakąś księgę.

— „To nie z naszéj winy i woli.”

— Tak i nie, mój bracie. — Ariman wielu ma czcicieli, pierwiastek złego przemaga tam, gdzie źli, i tam, gdzie trwożliwi — tych i owych mnóstwo. — Lecz oprócz tych kast, które tu wyrażone, jest jeszcze jedna niewymieniona, parya wszystkich innych. Owemi paria są ludzie: nieszczęśliwego sposobu samoistnego myślenia, dzieci ducha i prawdy — a ubodzy. Ci nigdzie nie są na miejscu, wszędzie niepotrzebną zawadą społeczeństwa — aż póki nie nabędą mienia i nie wejdą do któréj kasty, co bardzo rzadko się zdarza... Lecz na tém niekoniec.

— Zakończ Hieronimie? to dosyć jak na dziś, rzekł Czesław — dosyć o złych, mów o dobrych.

— Nie czas jeszcze — ale i tych ujrzysz, najwięcéj dwie trzy osoby na...... tysiąc, i tak bardzo to wiele!

— W co ty wierzysz Hieronimie zapytał go Czesław.

— Patrz! — i przyniosłszy małą książeczkę otworzył ją przed Czesławem. —

Był to nowy testament; — na końcu objawienia ś-go Jana przypadkowo karty się rozerwały, dwaj młodzieńcy przeczytali:

„Kto zwycięży odziedziczy wszystko — i będę mu Bogiem, a on mi będzie synem.”

„Lecz bojaźliwym i niewiernym i obmierzłym i mężobójcom i wszetecznikom i bałwochwalcom i wszystkim kłamcom, część dana będzie w jeziorze gorejącem i t. d: Tać jest śmierć wtora.”

Czesław z pewnym wahaniem się spojrzał na towarzysza, potem zcicha wyrzekł: wybacz! źle sądziłem o tobie . . . .

Jaki prostak ze mnie, odezwał się Czesław po długiém zadumaniu, ty się łaskawie draźnisz ze mną, a ja rzeczy biorę na prawdę.

Zaprowadziłeś mię do jednego kościoła gdzie się szczęśliwi i bogaci zbierają — pokazałeś jedną rodzinę, i z téj odrobinki na cały ogół rozciągnąłeś obmowę i wnioski. Jak to pod wpływem jednego wrażenia człowiek traci wielostronny sąd o całości — jam posmutniał, zwątpił o ogóle! — zapomniałem że pełno w innych kościołach inaczéj modlących się wiernych — i że ta jedna rodzina, to niewszystkie.

Niech i tak będzie — odrzekł Hieronim — ja *obwiniam* ludzi; wszakże nienaganiam ich bynajmniéj, czyś słyszał w mych ustach naganę? Co się tycze owych nabożnych wiernych, o co oni proszą? za kogo modlą się Czesławie?

— Za...... swoich zapewne i za bliźnich.

A gdyby przyszło do poświęceń dla tych ukochanych bliźnich, cóżby uczynili jak mniemasz?

Chciał odpowiedzić Czesław i po raz pierwszy cofnął swą odpowiedź — po raz pierwszy zwątpienie o chrześcijańskiéj miłości bliźniego, widomie stanęło przed jego duchem. Pewnym był siebie — lecz drudzy? bronić ich nieśmiał i ręczyć za nich dziś już niemógł, tak jak był by zaręczył wczoraj — już się starzał doświadczeniem i porównaniem wyznawców Chrystusa z Jego nauką.

Nieodstąpił jednak sprawy ogółu — Niezaprzeczysz Hieronimie, że choć może nie tak piękne, nie tak wytworne, ale są staroświeckie domy, gdzie każdy mile widziany i dobrze przyjęty bywa. — Że gościnność nasza niejest jeszcze czczym wyrazem. —

— To tylko szkoda że te domy nie mają czém przyjmować.

— „A jak będą miały?"

Wtedy z równym jak JWP: Kołowiccy hukiem i pukiem otworzą drzwi gościnnych przybytków, i z równym trzaskiem zamkną je za przybywającemi — tak że kto raz do ich podwoi zastuka, drugi raz wrócić się niezechce. Mówię o *potrzebujących* téj gościnności — dla niepotrzebujących, dla możnych, jest ona rzeczą tak zbyteczną jak pokarm nasyconemu.

— Ztąd wynika że dostatki psują ludzi. Jam sądził przeciwnie.

— Psują? a broń-Boże! — przemieniają ich tylko tak, że się stają ludźmi do.... niczego. Posłuchaj:

PRZESZŁOŚĆ.

Urodziłem się dziecięciem bogatych rodziców — staréj szlachty potomkiem; herbu Szreniawa z matki, Nałęcz — z ojca. Rodzina moja niekojarzyła się nigdy ani z palestrantami, ani z dorobkowiczami, byliśmy arystokracyą czystéj rassy.

Wychowywano mię na wsi nie w świetnym pałacu, lecz w obszernym, wygodnym dworze; wzrastałem przy boku matki, syn jéj ukochany i dzieliłem jéj pieszczoty wraz z maitre Jacquot, bardzo zwinną małpką, i kanarkiem, który prześliczne wyśpiewywał kuranty.

Po maitre Jacquot została mi pamiątka. Mały jeszcze bardzo być musiałem — niepomnę więc zdarzenia, lecz mi je opowiadano. Dostaliśmy *oboje* cukierków — sprawna małpka chciała mi odebrać moje, — jam wydzierał i podobno ugryzł napastnika, który takie mi dał cięcie zębami że o mało niepostradałem oka — Hieronim pokazał głęboszew nad powieką.

O kanarku pamiętam że nas, to jest matkę i mię, w wielką swym zgonem pogrążył boleść. — Matka moja bardzo płakała — ja wtó-

rowałem jak mogłem — wiesz że łzy i uśmiech mają przyciągającą siłę, dla dorosłych nawet nie tylko dla dzieci — błyśnij tylko dziecku łzami a zobaczysz że się rozpłacze; jam więc płakał bo matka moja łzy roniła.

Miałem trzy siostry, ale *jedynakiem* rodziców sam tylko byłem. Starszéj odemnie, Hortensyi, rodzice nielubili bo choć żwawa dziewczynka, była za niska i za tłusta. Młodszéj Pauliny nielubili że była tępa do nauki i śniada — biedna dziewczynka! prawda że nic jéj w głowę nieszło z owéj papuziéj metody nauczania — wykryło się późniéj że to była wielkich umysłowych zdolności kobieta; nieprobowano jéj ducha i chciano w jéj pojęcia włożyć gwałtem to, co do nich zupełnie nieprzystawało. Jest to dowiedzioną prawdą że u nas matki umieją wszystko, oprócz tego co umieć powinny: sztuki wychowywania swych dzieci; — lecz Bóg im to odpuści bo *niewiedzą co czynią.*

Najmłodsza Eliza umarła skończywszy lat siedm; zaledwie wyszła z pod opieki naszéj bony Madame Fauchow; starszemi zajmowała się Angielka Miss Nelly — i szczęśliwém opatrzności zrządzeniem była to kobieta prawa i dobrze myśląca, siostry téż moje nieprzynoszą zakału płci swéj — ani nawet dzisiejszym postępowym pojęciom — obie w każdym razie są i pozostaną zacnemi tak obywatelkami jak niewiastami.

Dla mnie długo niemogli dobrać nauczyciela; szukano pilnie francuza — lecz matka moja wychowana przez jakąś wice-hrabinę francuzką, (bo jak wiesz arystokracya nadsekwańska wolała uczyć obce dzieci za granicą niż wyrzec się dawnych zasad) szukała więc matka moja porządnego człowieka, o co już bardzo trudno było — choć jeszcze wtedy niemieliśmy takiego napływu kowali, perukarzy gryzetek, i woźniców — jak dzisiaj, którzy przybywszy z Francyi łaskawie raczą się zajmować wychowaniem synów téj ziemi — a tém chętniéj że tu mile bywają widziani i dobrze przyjęci. Otóż matka, niemogąc przyzwoitego wybrać mi człowieka, oczytawszy się też w dziełach Tańskiéj — które wielkiego zamieszania narobiły w ówczesnych o wychowaniu wyobrażeniach, postanowiła zająć się mną sama — siostry zostawiła Angielce. Mówiłem już dobrze po

francuzku, po angielsku rozumiałem, trzeba się było teraz zabrać do polskiéj mowy i nauczyć po polsku — uczyliśmy się oboje z matką i udało się nam pomyślnie; umiem i mówić i pisać Bogu dzięki! językiem moich naddziadów.

Pisma Tańskiéj zaczęły nawracać moją matkę — ojciec lubo nie wielki *literat* — niemógł się ich nasłuchać. Zaczął przemyślać o ulepszeniu, o bycie włościan.... lecz nieszczęściem dawne nalogi przemagały, — namiętnie lubił łowy; czasu więc na inne zatrudnienia nie stawało, tyle było kłopotów ze zjazdem myśliwych, układaniem legawców, zarządem domu, — a mój ojciec wszystkiem kierował, na wszystko miał oko. W mojem ukształceniu ta poszła po ojcu pamiątka iż strzelam zręcznie i w lot ptaka ubiję — i że dosiąść potrafię choćby najdzielniéjszego rumaka.

Nauczywszy się języka polskiego — przeszliśmy z matką do dziejów, jeografii, do czytania dzieł klassycznych. Walka romantyków z klassykami przypadła około 1826 r. — poezye znakomitego wieszcza które tak bardzo przeważyły szalę romantyzmu, przerobiły nas do reszty.

Co się tycze moich rozrywek; lubiłem grywać w wolanta z siostrami, gonić się z niemi po ogrodzie, harcować na koniu, a gdy przybyło kilku chłopczyków z sąsiedztwa, rąbać się na drewniane pałasze.

Gdym już dobrze mówił trzema językami, matka moja, biegła w muzyce, zaczęła mię uczyć grać — potém miał przybyć mistrz do tańca i rysunku; a nakoniec mimo pism Tańskiéj, którąśmy zawsze uwielbiali, miałem dla poloru wyjechać za granicę.

Nietrzeba mieć tego za złe mojej matce, dziś duch niby inny, obyczaje wszakże też same.

Jakie wzięcie ma wszystko co zagraniczne! Z jaką uprzejmością witają nowo przybyłego z nad brzegów Renu; żeby nasłuchać się o za granicy, wypytać jakim krojem noszą suknie – i czy jeszcze tańczą po zabawach? czy to, lub owo jeszcze w dobrym tonie? —

Tymczasem wypadło wielkie polowanie na którem mój ojciec został ranny — i w skutek ran zakończył życie. —

Po raz to pierwszy matka moja wydała mi się wielką, i przeję-

ła podziwem. Wątła i spazmatyczka, wówczas wszystkie siły ducha zgromadziła i tak zarządzała sprawami zmarłego męża, mimo boleści, mimo żałoby; iż zebrani kończyli pomyślnie swoje łowieckie czynności, aż póki nierozegnała burza. Wtedy matka moja, — czy znękana wysileniem — czy przejęta rozpaczą, — ciężko zachorowała jam wówczas liczył rok 14-sty — dzisiaj mam 30 skończonych.

Choroba méj matki, zbliżyła ją do córek — lecz niemiały już one takiego do niéj serca jakie miećby powinny były, gdyby się ich dzieciństwem zajmowała. Miss Nelly zawsze więcéj okazywały i zaufania i przychylności — matce wypadł tylko szacunek w podziele.

Gdyśmy się otrząsnęli ze smutku po śmierci ojca i gdy zdrowie mâtce wróciło – zaczęliśmy się trudnić zarządem włości. Jako przyszły dziedzic zacząłem się mięszać do spraw majątkowych – dorastałem lat ośmnastu, lecz niemiałem nawet doświadczenia trzechletniego dziecka wiéjskiego — Komissarz dóbr naszych oświadczył: iż panicza trzeba oddać za granicę na naukę gospodarstwa. — Wyjazd mój przeciągnął się jeszcze lat dwa — spędziłem je na niby zarządzie; to jest przyglądałem się co i jak robi pan Komissarz — lecz nie mając właściwych wiadomości, mięszać się do niczego nieśmiałem. Wówczas zastanowienie przyszło do głowy, usiadłem raz przy matce i zapytałem?

— Moja mamo! co ja z sobą robić będę?

— Niewiem mój synu.

Czy moja edukacya już skończona? i dla czego nieuczyłem się w publicznych szkołach?

-- Ty? z rozmaitym motłochem miałbyś się uczyć? — co też ci przyszło do głowy Hieronimku.

Na dokończenie edukacyi pojedziemy za granicę, tylko skończę z zamęściem Hortensyi — Gdyby to było innemi czasy — to by i środki były inne. Ale teraz ożenić cię tylko dobrze można — to jedyne jakie dla arystokracyi zostały widoki. Pomyślimy o tém gdy wrócimy zagranicy.

I na tem skończyliśmy rozmowę.

Hortensya za mąż poszła, Paulinę wzięła do siebie — wybrałem się w długo oczekiwaną podróż.

Cóż ci powiem? Miałem lat 20 skończonych — cztery spędziłem za granicą. Widziałem cuda sztuki — słyszałem najznakomitsze spiewaczki, największych mistrzów w tegoczesnéj poezyi i muzyce — żyłem gorączkowem życiem szału, wirowałem w zbytkach bez upamiętania, — trwało to kilka miesięcy.

Nasza dobra stara krew Nałęczów, przetrzymała by może wiele; ale tego chaosu rozrywek przetrzymać niemogła — zachorowałem. Gdym odzyskał zdrowie z wielką dobréj matki radością — zacząłem odosobnione prowadzić życie. Książki w poważnych pisane przedmiotach, wspaniałe muzea, zaczęły mię zajmować. — Ale do dzieł naukowych brakło mi... początków nauki. — Słuchać kursów nie czas było.

Taki nawał uciech, osobliwości, i wszystkich dokoła cudów jakie memu uwielbieniu za każdym nasuwały się krokiem, tak przesycił a nakoniec zmęczył mego ducha — iż nareście straciłem smak do wszystkiego.

Byłem jak łakomca przekarmiony przysmakami — czułem też żem wcale niepotrzebny wśród obcych; z któremi nic mię niewiązało, że moje miejsce jest tam gdzie zwłoki mych krewnych — i własność przez nich nabyta, iż tam przydać się na coś mogę.

Matka zaczęła zapadać na zdrowiu, to skłonniło ją do powrotu; mocno cierpiała już w drodze, ale taiła swe cierpienia z obawy żebym niezwlókł przybycia do miejsc rodzinnych. Gdyśmy do Pszennéj przybyli, położyła się w łóżko i więcéj go nieopuściła.

Siostry były na Litwie gdzie mąż Hortensyi ma dobra — nie przybyły aż po zgonie matki.

Na kilka dni przed śmiercią przywołała mię matka do siebie.

Wybacz mi Hieronimie — rzekła — zgubiłam przyszłość swoję.

Jak to? kochana Mamo? zapytałem.

Wychowałam cię Bóg wie po jakiemu, sama to teraz czuję — Mozoliłeś się lat tyle nad książkami, nieumiesz jednak tego co ci umieć jako obywatelowi tutejszemu wypada. Przywykłeś do wy-

gód i zbytków a może właściwsze byłoby zdrowiu i przyszłości twojéj nawyknienie do pracy i trudów.

Wybacz mi raz jeszcze — Niewiesz że majątek nasz obdłużony, ojciec stracił dużo, ja jeszcze więcéj wywiozłam za granicę — włość nasza musi być w bardzo złym stanie, po mojéj śmierci kłopoty a może i niedostatek spadną na głowę twoją.

Zamilkła — i zapłakała.

— Godziłoby się — dodała po chwili — abym była za karę umarła na obcéj ziemi, do któréj tak się wydzierałam. Bóg litościwy nieukarał mię tak srogo — dzięki za to! córek pewno nie ujrzę już w tém życiu, ale i to moja wina.

Mój synu — ilekroć uczujesz się smutnym, znękanym — obcym na rodzinnéj ziémi — tyle razy dusza moja dręczoną będzie. Jam cię wplotła w koło próżniaczych rozkoszy, jam wtrąciła w tłum bezczynny, moja wina jeźli się na nic nie zdasz ani drugim ani sobie.

I biedna tak rzewnie płakała — iż choć czułem że prawdę mówi, przeczyłem jéj wyrazom utrzymując, że jeźli tylko zdrową będzie — ja do najszczęśliwszych się policzę.

Umarła... sprawdziły się przepowiednie; i majątek poszedł na przedaż — Gdy przyszło do działu, została mi z łaski Opatrzności, Przenna; tę w dzierżawie jeszcze wytrzymują — lecz skoro kontrakt wyjdzie, osiąd w niéj i do pracy się zabiorę — tymczasem z 12-tu tysiącami rocznego dochodu zbijam bruk po Warszawie.

A jednak biedna moja matka była zacną kobietą! jądro ducha uszkodzoném niezostało — lecz wychowanie i pojęcia kasty, otoczyły je jakąś dziwaczną powłoką, która spadła przy śmierci dopiero.

Sądziłem że po kilku miesiącach samotności i zatrudnienia towarzystwo mych współ-obywateli rozraduje, podniesie ducha mego. Zawiodłem się. Szukałem swoich, znalazłem... figurki à la française o pożyczonem życiu. — Chciałem przypomnieć rodzinną mowę z takim mozołem nabytą — usłyszałem polsko-francuzkie gwarzenie.

W książkach przecie była jeszcze ucieczka.

Widząc że nieuchronię się mego losu i że zamiast ludzi do których wliczyć się chciałem, znajduję jakąś mozajkę — niewiem

co wyobrażającą, czy ciało bez ducha, czy też ducha bez ciała? przestałem wybredzać i wszedłem w towarzystwa z mocném przekonaniem że nic lepszego nigdzie nieznajdę.

Ztąd zaczyna się nowa dla mnie epoka — miłość.

„Ty zakochany!” przerwał w zdumieniu Czesław — Zakochany i znudzony! „to dziwna — jam słyszał że ten tylko żyje zupełnie kto się kocha.”

Cóż ci to szkodzi — ja kocham po swojemu — a wreście któż ci powiedział że się nudzę?

„Alboż sam tego niewidzę — lecz dokończ twego opowiadania, ciekawym co też za jedna ta twoja wybrana, musi to bydź coś nadzwyczajnego.”

Nieomyliłeś się — jak zaś ją poznałem zaraz się dowiesz. Bywałem u państwa R. są tam dwie ładne córki na wydaniu, poznałem więc i kilku z młodzieży, między niemi Ksawerego... nazwisko cię nieobchodzi.

Przyszedłem raz do niego, wysłany umyślnie od panny Eufemii R. która dość łaskawie przyjmowała jego grzeczności; a przysłany z prośbą o kilka poszytów Żyda wiecznego tułacza, bo go Ksawery prenumerował.

Była godzina jedenasta z południa; deszcz padać zaczął — zastałem Ksawerego w szlafroku, przechadzał się i ziewał.

Nudzisz się, rzekłem objawiwszy mu powód mego przyjścia — dla czegoś niewyszedł na miasto? byłbyś się rozerwał.

„Grałem do czwartéj w lancknechta — jeszczem się i tak niewywczasował — Człowiek zabija czas jak może.”

Po téj przeklętéj biurowéj pracy, niewiedzieć czem się rozerwać? Probowałem wszystkich rodzajów zabawy — żadna mi nie do smaku.”

Dla tego zatrudnienie ci się przykrzy mój Ksawery — że niemasz dla kogo pracować — ożeń się a zaraz weselszém, pełniéjszem będzie twe życie — rzekłem mu głosem pocieszającym.

Żenić się -- to dobrze — ale z kim?

Czy tak mało kobiet w Warszawie? Panna Eufemiia naprzy-

kład, piękna, dobrze wychowana, młoda i łaskawa dla ciebie, dodałem z uśmiechem.

— Ale przywykła do wygód, do zbytków, bez posagu, a mam tylko pięć tysięcy, dla mnie zaledwie wystarczy — Nareście blondynki mi się niepodobają, wyrzekł stanowczo.

To pokochaj szatynkę, brunetkę, rudą nakoniec! — znajdziesz jaką zechcesz.

— Wiem że znajdę ale mi się szukać niechce — jużem się kochał tyle razy! to nudna rzecz. Ostatni mój romans naprzykład; szczęście żem się wywikłał.

— I cóż to było? zapytałem ciekawie.

— Oto — stałem półtrzecia roku w pewnym domu w Warszawie; po drugiéj stronie na tém samém piętrze mieszkała wdowa po małym urzędniku z nędznéj żyjąca emerytury. Córka jéj szesnastoletnia wpadła mi w oko. Zaznajomiłem się z matką — poczciwe te matki rade przyjmują młodzież, zwłaszcza gdy córki dorastają.

Pokochałem się z Bożenną i kochaliśmy się lat — dwa. Tak dalece, tak ogniście, iż o mało żem się nieożenił....

Chwała Bogu nieuczyniłem téj niedorzeczności. —

Szwagier mój (tu Ksawery wymienił godność i tytuły szwagra) — wyjednał mi wyższą posadę. Zostałem tranzlokowany do S. Przy wyjeździe, żegnając zasmuconą Bożennę, wymogłem na niéj że do mnie pisać będzie — ale niechciała przystać na to — o! bo harde z niéj stworzenie! Lecz pótym błagał, zaklinał, póki za zezwoleniem matki przystała na me prośby — z warunkiem że ja pierwszy napiszę.

Pisałem — otrzymałem odpowiedź — potem jeszcze drugi list od Bożenny — i tu się urywa nasz romans.

Dla czego stanąłeś po tak dobrym początku? zapytałem bardzo zajęty.

— Mój drogi — przybywszy do S. gdym się odzwyczaił od towarzystwa Bożenny, przyszło mi na myśl że ona jest jeszcze gorzéj jak bez posagu — bo ma go tylko 9 tysięcy.

Dziewięć tysięcy! czy pojmujesz jaka to śmieszność w prowadzić

do świetnych salonów méj siostry dziewięcio-tysiączną bratowę? Wolałbym żeby nic niemiała! Powiedzianoby: ożenił się z miłości — ale łakomić się na dziewięć tysięcy!

Fi! c'est ignoble! —

— Mogłeś zrzecz się jéj posagu. —

,,Onaby na to nieprzystała. Siostra też upatrzyła dla mnie majętną pannę i właśnie mię swatać miano. Panna nieszczęściem umarła, — ale już było po mojéj dla Bożenny miłości — na jéj drugi tęskny poetycki list — już mi się odpowiadać niechciało.”— Ksawery dobył z pugilaresu pół-arkuszowy list, drobno zapisany — z miną zwyciężcy rozłożył przedemną: — ja przeczytałem cudowną odezwę czystéj, kochającéj, tęsknéj duszy; gdzie cała prawda i siła uczucia w każdym połyskiwała wyrazie. — Nie, wrażenia jakie ten list na mnie, znudzonym poezją i prozą i wszystkiemi bazgraninami autorów — sprawił, opisać nieumiém. — Była to piękność, prostota, miłość w objawieniu... skończyłem — Ksawery zapytał:

A co?

Dobrześ uczynił żeś się nieożenił.

A widzisz.

Jesteś bardzo rozsądny człowiek — czyń tak daléj, a będziesz szczęśliwy. Pożegnałem go — i odtąd niewidziałem.

O! nikczemnik — zawołał Czesław, który dotąd nie śmiał przerywać opowiadania — nikczemnik! święte tajemnice kochającéj go istoty wydawał na łup obojętności — najgrawania. — Ja na twojém miejscu Hieronimie byłbym....

Cóż?

Powiedział mu że jest — podły!

Tak cię to bardzo obeszło?

Wszak miałem matkę, mam siostry.

W kilka tygodni późniéj — kończył Hieronim — poszedłem do mego krawca, który się przeprowadził.

Łatwo mi było wynaleść dom, ale nieco trudniéj mieszkanie, kamienica albowiem obszerna o dwóch bramach i dwóch podwórzach. Gdym się przeto w pierwszém niemógł dopytać o krawca, przesze-

dłem na drugie podwórze — a idąc na chybił-trafił, prostom się udał na pierwsze piętro — ozdobione drewnianą wystawą, mnóstwem kwiatów ustrojoną.

Wstępując na schody usłyszałem głos z wystawki: „panno Bożenno! proszę pani."

„Zaraz, zaraz moja droga!" odpowiadał głos z podwórza. I zawołanie i odpowiedź niemiały nic w sobie uderzającego — jam wszakże zatrzymał się jedną nogą, na wyższym stojąc schodzie, przypomnienie przemknęło mi przez głowę na imię Bożenna — a gdy głos z dołu odpowiedział: „moja droga" — w tych wyrazach tyle było uczucia, tyle prawdy — że aż mię chętka wzięła poznać i tę *drogą* — i tamtę, która w brzmieniu jednego wyrazu umiała odcieniować swoje uczucie.

Na wystawce, czerniawa, niezgrabna, służąca przesuszała jakieś drobiazgi niewieściego stroju.

Zapytałem ją o krawca, otrzymałem objaśniającą odpowiedź — jeszczem się miał o coś pytać, gdym usłyszał szybki bieg po schodach.

Obejrzałem się.

W ciemnéj płócienkowéj sukience, czarnéj, bardzo już zużywanéj mantylce — głowę mając po wiejsku dwoma warkoczami kasztanowatych włosów okręconą, z żywym rumieńcem, szybko oddychającą piersią i pękiem tiulików w czerwonych od chłodu rękach, stała przedemną. — Bożenna. Pewno ci się wyda zabawnem iż wbrew wszelkim estetycznym pojęciom, oczarowała mię jéj postać — taka właśnie a nie inna.

Jam się tyle napatrzył nimf czarownych całą barwą ułudy i przynęty; tylem się naczytał o pięknościach w *bieli* — z kruczemi lub złotemi włosów pierścieniami, z drobną rączką, białą, pulchną — o bajecznie wiotkiéj postaci — iż może dla przeciwieństwa, urzekły mię swojskie, że się tak wyrażę powaby, żywéj, zatrudnionéj niestrojnéj dziewczyny.

Obaczywszy mię Bożenna, zbliżyła się do służącéj, oddała jéj swój pęczek i posunęła się ku drzwiom mieszkania.

Chciałem sprawdzić moje domysły — zapytałem przeto pokojów.

ki: czy niewie gdzie się przeprowadził pan Ksawery? — A wymawiając jego nazwisko, uważałem bacznie na twarz Bożenny.

Podług mych wyobrażeń, twarz jéj powinna była być nie co bledszą, włosy ciemniejsze, brwi bardziéj w łuk zagięte, usta węższe. Tymczasem wszystko było inaczéj: — tylko promienne, tryskające światłem oczy, przeszły moje nawet oczekiwanie; tylko wymowne, pełne wyrazu usta podziwem mię przejęły. Każdą namiętność, każde przelotne wzruszenie, wykażą ci jéj usta — czoło, twarz zostanie niezmienioną, ale usta jéj odbijają wszelkie przemiany ducha— i ten typ słowiańskiéj niewiasty, tém ciekawszy mi się wydał — gdym na ustach dostrzegł lekkie pogardliwe ściągnięcie, które nieznaczyło ani uśmiechu ani grymasu.

Pokojowa o żadnym panu Ksawerym niesłyszała: i niedziw! od dwóch lat niemieszkał w tym domu. Odwołała się więc do swéj *panienki*, która spokojnym, uprzejmym głosem odrzekła mi, że ten pan oddawna wyjechał na prowincyą.

„Wiem o tém, rzekłem — bo znam go bardzo dobrze, lecz miał wrócić i w téj zamieszkać kamienicy."

Bożenna z szczególną niedbałością przyjęła tę odpowiedź — i ukłonem mię pożegnawszy odeszła do siebie.

Stałem zdziwiony i zadumany. — Czy ona go kocha? pytałem sam siebie — albo czy rzeczywiście tak bardzo był jéj drogi? Miałażby należyć do owych lekkich kobiet, które dziś przywiążą się bez namysłu, bez rozwagi do pierwszego lepszego — a jutro gotowe innym zaprzątnąć sobie głowę? to być nie może, — mowiłem — trzeba ją koniecznie poznać lepiéj.

Chcącemu — nie ma nic trudnego. Mieszkam pod jednym dachem z Bożenną, znam jéj usposobienia, posiadam przychylność i zaufanie — i na dobitkę — kocham ją zapamiętale.

— Więc ona tu mieszka w tym domu? zapytał Czesław.

W tym samym — odpowiedział Hieronim.

— I nie bywasz u niéj?

— Dwa razy na tydzień, to dosyć.

Toś powinien być bardzo szczęśliwy; pod jednym dachem z ukochaną!

Hm! — i po tym wykrzykniku Hieronim przygryzł usta.

Zepewne, — badał daléj Czesław — posiadać musi staranne wychowanie, — wiadomości, muzykę, śpiew.

Nie! dzięki Bogu wcale się do muzykalnych nie liczy!

— To może poetka? pisze dzieła i głośne ma imię?

— Broń Boże! *pisać*, *umie* — lecz się nigdy w piśmiennictwo niewdawała.

Maluje?

— A mój Czesławie! czy sądzisz że tylko artystki godne są mego przywiązania? Powiadałem ci już, że mię tak przesyciło, znużyło amatorstwo sztuk, które czuję — ale na których zupełnie się nieznam — iżem się tyle arcydzieł napatrzył, nasłuchał, nauwielbiał— iż doprawdy prosta, szczera, myśląca Bożenna, bez wszelkich artyzmu grymasów, wydała mi się błogiem zjawiskiem — pełnem poezji — i powabu.

— Cóż tedy tak w niéj uroczego?

Co? — Ona! ona sama. Jéj dusza dźwięcząca wszelkiemi tonami uczucia, jéj usposobienia żywe, gwałtowne, ogniste — jéj słodycz niewieścia, cicha; tkliwość co otacza tę płomienną duszę. — Kobieta Sławianka — z wielkim cnót niewieścich *domowych* zasobem, a mimo to zapałem i mocą duszy silna, czyż niewięcéj ci się podoba nad wymarzone, omdlałych piękności — lub rozhukanych namiętnością cudzoziemek — obrazy?

BOŻENNA.

Ta, o któréj Hieronim z takiem uniesieniem wspominał — była sobie prostą, spokojną dziewicą, z wielkim prawda uczuć skarbem — ale tak ukrytym, tak zagrzebanym na dnie serca, iż tylko bystre oczy kochającéj osoby dopatrzyć się tego skarbu umiały.

Bożenna była drugą córką pana Łukasza, urzędnika o szczupléj płacy — który otrzymawszy wiadomości początkowe od swego ojca organisty, pilnością i pracą uzupełnił swe wykształcenie: — a dostawszy niewielki urzędzik, pojął za żonę zubożałych dziedziców

córkę; która prócz ładnéj buzi, rządności i pewnéj dumy ze swego szlacheckiego pochodzenia, — nic innego niewniosła w posagu. Troje dzieci kolejno umarło państwu Łukaszostwu.

Po urodzeniu też córki bardzo słabowitéj, która wbrew smutnéj rodziców nadziei — uchowała się szczęśliwie, niewiedzieli co czynić z radości i jak pielęgnować tak cudownie mimo słabego zdrowia chowające się dziecię. Mała przeto Teklunia, pieszczotka ojca — życie i radość matki, była ogniskiem koło którego obracały się wszelkie myśli, czyny i życzenia rodziców. Już dochodziła lat ośmiu, gdy Bożenna przyszła na świat — a choć drobna lecz tak zdrowa — iż rodzice osądzili za rzecz najdogodniejszą, oddać ją na wieś na mamki, nie dla tego aby pani Łukaszowa sama jéj karmić niemogła, lecz że toby przeszkadzało w doglądaniu Tekluni, gdyż właśnie na odrę zapadła.

Bożenna więc zaledwie żyć zaczęła, już spotkała się z krzywdą, obojętnością — matka odmówiła jéj maleńkiéj, swych starań i pokarmu — ojciec ubezpieczony jéj zdrowiem odsyłał ją pod obcą strzechę.

Na wstępie do życia, już stanęła jéj nazawadzie siostra — i zbyteczne przywiązanie rodziców do Tekluni, choć Bożenka miała doń równe prawa. Ale co straciła na szczęściu — zyskała na zdrowiu.

U czerstwéj wiejskiéj kobiety chowana bez pieszczot, po wiéjsku na słońcu i powietrzu, od najmniéjszych lat zahartowała się na niewygody — i pierwotne jéj wychowanie, pozbawiło ją zapewne mnóstwa chorób, które nierozważnem, *nieumiejętnem* pielęgnowaniem dzieci, wszczepiają im na całe dalsze życie, przez zbytnią troskliwość lub niedbalstwo.

Kiedy Bożenka czerstwo do lat trzech dorosła — matka odebrała ją od mamki. Teklunia delikatna i piękna, przytém łagodna i bardzo zręczna w robotach kobiecych, pomagała już matce i haftowała za pieniądze. Niedziw przeto że tak kochana i użyteczna wielkie w domu miała znaczenie.

Zabawnie, przy białéj z różanemi ustami i czarnemi włosy Tekluni — odbijała trzyletnia tłusta, opalona, dzika, jak młode koźlę — Bożenka. — Gdzie wbiegła, to jakąś psotę wyrządziła, to jakąś

zbroiła szkodę — przytem doskonale *cięła mazura*, co niezmiernie wstydziło panią Łukaszową, bo jéj przypominało pochodzenie męża. A że przesąd silniéjszy nad samo przywiązanie do małżonka pani, Łukaszowa z niechęcią poglądała na to wiéjskie dziewczątko, tak podobne do swéj babki organiściny, poczciwéj niewiasty lecz prostaczki — za którą pani Łukaszowa nieraz się rumieniła.

Ojciec wkrótce przyzwyczaił się do Bożenki, przebaczał jéj wrodzoną żywość — pokrywał psoty jakie czasem niechcący wyrządzała pieścił niekiedy, a nareszcie pokochał na dobre tę rzeżką dziewczynę, i spostrzegłszy wielkie umysłowe zdolności, szybkość w odpowiedziach, zdrowy sąd o wszystkiem — oraz tak słusznie chwalony chłopski rozum, co wiele rzeczy sam docieknie i śmiało o własnych siłach wskazanym podąży torem — zaczął uczyć Bożenkę jak mógł i umiał...... Podobno że dobrym był mistrzem, bo rozważna miłość nigdy niezawiedzie i w każdym czynie celu dopiąć zdoła.

Ale ze wzrastającem przywiązaniem ojca, Bożenka traciła do reszty przychylność matki, siostry. Teklunia nawykła do jedynactwa — zazdrościć zaczęła Bożence; nigdy biedna dziewczynka dogodzić siostrze, a tém samem i matce niemogła. Kiedy przyszło do nauki robót ręcznych, Bożenna okazała się tak niezręczną, osobliwie w haftach i szyciu: że matka z Teklunią wyrzekły stanowczo iż to dziewczyna *do niczego*; może do wiejskiéj dobra roboty; ale w mieście na niewiele się przyda.

A jéj postępy w nauce były próżniactwem i pańskością, a choć Bożenna wszelkiemi siłami starała się dogodzić matce i siostrze, bezustanne nagany tak sparaliżowały jéj zręczność, że wszystko niezgrabnie, źle się wiodło,

Długo toczyła codzień wzmacniający się bój z zawiścią siostry i niechęcią matki.... od pierwszego wstępu w dom rodziców, było jedno i to samo. Nakoniec zabrakło jéj wytrwania i odwagi. Miała już lat jedenaście — zaczęła zastanawiać się nad sobą i rozbierać swe wady — dostrzegła — że nic ona nie winna - niesprawiedliwość ze strony matki i siostry, dwóch tak poważnych osób dla Bo-

żenny uderzyła ją w oczy. Jak smutno było biednéj dziewczynce przyznać w duszy że matka i siostra źle czynią!

W jéj przekonaniu one były doskonałością, teraz, upadła wielka święta cześć jaką Bożenna czuła dla matki i starszéj swéj siostry; a takie odkrycie zasmuca każdą młodą duszę, bo w nią wprowadza zwątpienie....

Lat podobnych jeszcze parę minęło. W dom państwa Łukaszów dostatek wchodzić zaczął. Ojciec otrzymał wyższą posadę — matce dostało się 18 tysięcy spuścizny.

Ośmnaście tysięcy! jakże to wiele tam gdzie *nic* nie ma, jak mało dla bogatych. — Córki pani Łukaszowéj niebyły bez posagu — po dziewięć tysięcy na każdą!....

Mój Boże! jeden szal elegancki, jedno pudełko koronek — czasem jeden garnitur artystce darowany, tu *u nas*, w kraju; (bo niewspominamy zbytków Londynu lub Paryża) — jeden strój — niebardzo wytworny, kosztuje dziewięć tysięcy — a to był posag Bożenny!

Miał słuszność Ksawery że się z tego natrząsał....

Ale pani Łukaszowa i jéj znajomi inaczéj myśleli. — O rękę Tekluni zaraz odezwał się dawno już wzdychajacy urzędnik, który byłby może skończył na wzdychaniu — ale te 9 tysięcy wzmogły jakoś jego uczucia.

Było wesoło, szczęśliwie w domu rodziców Tekluni, ona sama oddała rękę panu Andrzejowi, i od 4-ch miesięcy cieszyła rodziców swém domowem szczęściem, gdy — pan Łukasz nagle zasłabł — apoplexya go uderzyła.... a w parę dni Bożenna niemiała już ojca...

Teklunia zachorowała ze zmartwienia; strapiona matka niewiedziała co począć, czy doglądać córki, czy zająć się pogrzebem? Milcząca boleść Bożenny ściągnęła nowe zarzuty, wymawiano jéj brak przywiązania — i nieczułość. W przekonaniu niektórych, boleść mierzy się na skalę głosu — i czém płacz głośniéjszy, czem hałaśliwsze narzekania, tém mocniéj słuchacze przejęci — gdy tymczasem bywają osoby z pewną wstydliwością cierpienia, które albo niechcą okazać jak wiele cierpią, lub też nieśmieją zasmucać drugich wielkością swych udręczeń. — Do takich należała Bożenna.

Niedostrzegła pani Łukaszowa, zajęta chorobą Tekluni, że twarz Bożenny zżołkła i ściągnęła się — iż oczy zapadły i lekki urywany kaszel odzywał się z jéj piersi. Aż obce osoby zwróciły na to uwagę matki. Wtedy wpatrzywszy się w lica Bożenny, przypomniała sobie rysy męża, wspomniała że to ich najmłodsze dziecię — że nieboszczyk bardzo kochał Bożenkę, że ją sam uczył...

Rozrzewniona tém wspomnieniem zaczęła troskliwiéj uważać na Bożennę, przywiązywać się do niéj powoli, lecz Teklusia tak bardzo już wrosła w życie, w duszę matki — iż dla Bożenny zostało przywiązanie, dla Tekli — najżywsza, silna miłość.

Podział niebył równy, Bożenna poprzestać na nim niechciała; a w jéj duszy powstała walka z zazdrością o serce matki tak niesłusznie przez siostrę jéj wydarte — i żal do matki za jéj niesprawiedliwość.

Nakoniec zazdrość Bożenny zakrzepła aż w obojętność. Obie siostry wzajemnie się cierpiały, lecz jedna drugą nieobchodziła.

Dzieci Teklusi, dla których nowe uczucie powstało w sercu pani Łukaszowéj — dla Bożenny były nieznośne. — Tak doszła do lat szesnastu, miotana niechęcią i oburzeniem, aż póki niezjawił się Ksawery.

Nowy świat zajaśniał przed duszą Bożenny, która widziała, że jest kochaną, i może przez wdzięczność kochała nawzajem. Ksawery zakrawał na bardzo poważnego człowieka. Dużo mawiał o cnotach niewiastom potrzebnych. Był bardzo surowy w swym sądzie — i tak wymagający względem kobiet, iż Bożenna prawie zwątpiła czy dójdzie kiedy stopnia téj doskonałości, jakiéj Ksawery od jéj płci wymagał. Słysząc go rozprawiającym, wnosiła że skoro tyle wymaga od drugich, sam bez wad być musi. Doskonałość zwykle bywa pięknych dusz przeczuciem, tęgich głów marzeniem. W młodości, kiedy człowiek nieupadł jeszcze grzechami człowieczeństwa, wszystko wzniosłe — tak jest podobném do prawdy!

Mężczyzna, ów pan ziemi, władca świata, powinien być czemsiś bardzo, bardzo wielkiem, skoro towarzyszka jego aby mu się podobała, tyle przymiotów potrzebuje! On zapewne przewodniczy jéj na

drodze udoskonalenia, on wspiera ją przykładem; jak to błogo być musi, mieć takiego mistrza, i od niego uczyć się mądrości.

Tak myślała Bożenna.

I kochała Ksawerego równie żywo jak wprzód kochała ojca; po jego wyjeździe wydało się Bożennie jak gdyby powietrza zabrakło jéj piersi, światła oczom. A kiedy nieodpisał na jéj powtórny list, przecierpiała piekielne katusze, sądząc że chory, umierający może — a ona go niewidzi, ona niewie co się z nim dzieje.

Naprożno matka domyślając się jéj cierpień prowadziła do teatru, na przechadzkę, w odwiedziny. Tém powiększała udręczenia córki. Na scenie miłość zazwyczaj szczęśliwa; jeźli zaś zjawi się cierpienie, to tak uroczyste, dźwięczące muzyką, opromienione światłem, ubarwione pięknością, że prawdziwie smutny nie może się dopatrzyć swego uczucia; i jego tajemny smutek tém żywiéj mu doskwiera.

Przechadzki, odwiedziny, dla wesołych i szczęśliwych! lecz strapionemu, jedyną ucieczką pierś przychylnością bijąca — wejrzenie przyjaźni. Bożenna, znaleść tego niemogła, pieszczoty matki, przeniosły się na dzieci Tekluni — a Bożenna była już dorosłą.

Pewnego dnia tęskna i blada towarzyszyła matce i siostrze do Łazienek. Szła smutnie z oczyma w ziemię wlepionemi, gdy obok siebie usłyszała turkot powozu. Spojrzała. W powozie, ogromnym herbem nacechowanym — siedziała w piórach, łańcuchach, axamitach, przyjstojna z nadętą miną kobiéta, troje dzieci — i wysmukły, wyświeżony mężczyzna, który spojrzał na Bożennę i nawet się jéj nieukłonił. Był to Ksawery z dostojną swą siostrą.

Bożenna niezemdlała, niekrzyknęła, niezadrżała nawet. Pierwszą myślą było iż *on* żyje, zdrów — i jest w Warszawie — drugą że jéj niepoznał — a potém... w duszę zakochanéj dziewicy wstąpiła nadzieja iż go ujrzy zapewne.

Kilka dni strawiła na oczekiwaniu Ksawerego, za każdem drzwi skrzypnięciem przejmowało ją gorączkowe drżenie; rumieniec wybijał na lica. — Codzień mówiła sobie: jutro przyjdzie — a po tém jutrze, znów nowego jutra wyglądała — naprożno!

Nakoniec zmęczona gorączką niepewności i nadziei, poddała się myśli, któréj natręctwo odganiała dotąd.

„On już nieprzyjdzie! on mię nie kocha!” a powiedziawszy sobie raz tę bolesną prawdę — zupełnie temu uwierzyła.

Z przed jéj oczu znikła główna myśl jéj duszy — cel życia, jedyne uczucie, koło którego wirowały wszelkie jéj chęci i czyny, nagle usunęło się z jéj drogi; duch Bożenny obejrzał się dokoła i ujrzał, że teraz zawisł w próżni.

Bożenna rzuciła się na kanapę, oparła czoło na wezgłowiu, i w konwulsyjném łkaniu potoki łez toczyły się po jéj piersi. Łzy same przez się płynąć przestały — Bożenna straciła uczucie boleści; było jéj tak jak gdyby rozpłynęła się w nicość — zgubiła uznanie siebie, zapomniała swego ja.

Okropność! — Taki stan ducha jeszcze gorszy niż uczucie, w którym wiemy, że postradamy rozum — okropniejszy nad wszelkie tortury duszy, musi to być śmierć potępionych — nicość — nicość wiedząca o sobie.

Są zapewne nieszczęśliwi, którzy doznali tego rodzaju katowni.... tacy mogą się pochlubić — jeźli wrócili do swego ja, ztąż co wprzód wiarą, nadzieją: z temiż władzami ducha — że nikt i nic ich już nie zmoże, nic niezłamie, że stali na najwyższym szczeblu cierpienia, do jakiego duch ludzki podnieść się zdoła.

Jak to długo trwało? powiedzieć nie umiemy. — Po niejakim czasie wróciła Bożennie myśl, wiedza i wola: podniosła się... spojrzała na zwilżone łzami wezgłowie, na przemokły stanik sukni — i uśmiéch smutku, goryczy poruszył jéj usta.

Potém usiadła i zaczęła rozważać swe przeszłe życie: w sercu jéj powstał żal do Opatrzności.

— Mój Boże! pomyślała — zdrowie, młodość, uczucie, wszystkie dary nieba co uzacniają ludzi, mnie na złe wyszły!

— Urodziłam się zdrową i silną, to mię pozbawiło pieszczot i miłości matki — dziś jeszcze wrażenia od których strzeże Teklunię, dla mnie za nic nieznaczące uważa; bom ja silna, ja wszystko zniosę, wszystko przecierpię — bez mdłości i spazmów...

— Zdolności umysłowe cóż mi przyniosły? nie zgadzam się w pojęciach ze swojemi — dążę w świat nie tak materyalny — nietyle powszednim chlebem pokarmu i stroju żyjący — a spotykam szy-

derstwo i niechęci. — Miłość? zdeptana, wzgardzone — roztrąciła się o herbowy powóz jego siostry, o pióra jéj kapelusza! — Czy może nie jestem dosyć wykształconą, brak mi przymiotów duszy, abym była godną jego miłości? Lecz kochał mię wprzódy taką jaką jestem — a wiedziona jego przywiązaniem wszelkich cnót nabyłabym niezawodnie. — Jakichże cudów miłość niedokaże! Może znalazł lepszą odemnie.

(Dalszy ciąg nastąpi).

SŁÓWKO O EMANCYPACYI KOBIET.

„Prawdą a Bogiem."

Dziwny to zaiste wiek, ten wiek dziewiętnasty! — ludzkość do czegoś dąży, a nie wie z pewnością do czego — ludzkość marzy, a z pewnością nie wie o czém. Ludzkość słyszy jakiś głos niebiański w swych piersiach, ale z zawiązanemi myśli, oczyma dąży za nim i niemoże wynaleść do niego drogi pewnéj a prostéj. Słyszy głos Boga odzywający się do niéj — ale słyszy wyrazy — całkowitéj myśli ogarnąć i zrozumieć jeszcze niemoże. Pojedyncze wyrazy tego głosu pojedynczo chwytają — budują na nich teorye — chcą te teorye w życie wprowadzić, ale niestety! są one prawdą jednostronną, a jako takie, niemogą być użyte za fundament do nowych i wielkich świątyń ogólnéj a przedwiecznéj prawdy.

Emancypacya kobiet jest jedną z takich dążności, Myśl zaś o emancypacyi kobiet ma scisły związek i mieć musi z ogólnym rozwojem i postępem całéj ludzkości — charakteryzuje ona najdzielniéj i to nieoledwie pod każdym względem cnoty i błędy ostatnich i ostatniego wieku — albowiem ona właśnie z tych cnót i z tych błędów wyrosła.

Emancypacya kobiet jest myślą, która zawiera w sobie wiele prawdy — i która przeto na niczem spełznąć niemoże.

Zkąd myśl emancypacyi powstała? — oto powiem, z góry: z czczości serca. Kobieta jest uosobioną miłością, celem jéj działania, celem jéj życia, słowem jéj naturą, jest miłość. Nie jest to bynajmniéj przesadą — wypływa to z praw przyrodzenia, które właśnie kobiecie wlało to święte uczucie, jako téj, która ma pielęgnować i kształcić nowe pokolenie — przyrodzenie obdarzyło kobietę uczuciem, a estetycznością wewnętrzną i zewnętrzną osłoniło. Kobiety przedstawiają w ludzkości uczucie i pieknotę, gdy przeciwnie męczyzny udziałem — siła i rozum bezwzględny.

Te dwie strony łączyć zaś i jednoczyć jest obowiązkiem tak pojedynczych ludzi, jak i całego rodzaju ludzkiego — Miłość jest środkiem tego związku — a małżeństwo jego wyrazem. Dopóki kobiety znajdowały to, co jest życiem, dopóki mówię, znajdowały miłość odpowiadającą ich miłości — dopóty niepragnęły swego wyzwolenia. W wiekach średnich kobieta niemarzyła o swem poniżeniu, niepragnęła tak zwanéj równości praw z mężczyzną, bo ona była bóstwem rycerstwa łączącego i urzeczywistniającego wiarę i czyn chrześciański; miłość jéj odbierała dowody świętej i prawdziwéj miłości — a węzeł jéj był, w całem nieomal chrześciaństwie, węzłem zawiązanym w imieniu Boga

Kiedy przez reformacyą rozum wziął górę, na ten czas miłość i uczucie kobiety musiały nieraz doznawać okropnych zawodów. Rozum, pan wszechwładny coraz bardziéj rozpuszczał swe konary i stworzył interes materyalny, osobisty. Interes, syn zbiornego rozumu stał się podstawą wszystkich działań i przedsięwzięć.

Było wstydem okazywać uczucie — wypierano się go — wykorzeniano w wychowaniu młodzieży męzkiéj, jako wady — słabości. Interes materialny wiódł męczyznę do stóp kobiety. Natenczas to kobieta uwiadomiona w swych uczuciach, długo w milczeniu płakała nad swym losem — długo walczyła z sobą, z swą naturą, nim się nauczyła rozumować swe względne położenie. Do gruntu obrażone uczucie zamilkło — i w niéj zimny rozum wziął górę — przytępił w niéj, jeżeli niezupełnie wyrugował wyższe religijne pojęcia — myśl emancypacyi się wyrodziła. Dzisiaj ta myśl jest w sercu

nieledwie każdéj kobiety — bo każda czuje tę prawdę, którą my tutaj wykryć się staramy.

Odpowiadajmy miłości kobiét miłością, czuciem ich czuciu — a wówczas, nie może być inaczéj: muszą powiedziéć, iż emancypacya jest niepotrzebną. Miłość prawdziwa, oparta na moralności, postawi kobietę na równi z mężczyzną. Zleje ich w jedność nierozlewną, a tém samém usunie wszelkie różnice. Napróżno starać się będziemy wymyślać teorye.

Zamiast marzyć wprzód o środkach ulepszenia moralnéj istoty naszéj — pracujmy nad tém, ażeby chrześciańskość weszła w istotne życie — rozwijajmy czucie, a one wraz z rozumem powiedzie nas do wyższego stanowiska. Uczuciem, rozumem pojmujmy zasady chrześciańskości — na nich opierajmy i z nich wyprowadzajmy nasze myśli i czyny — a wtenczas dopiéro przygotujemy ludzkość do wszystkiego dobrego — wtenczas dopiéro nasze myśli i czyny będą trwałe i wieczne, jak zasady, z których powstały.

Na zewnętrznem prawie, stosunek żony do męża i męża do żony ustalić się żadną miarą nieda; miłość jedyna może istotnie ich zlać w jedność i miłość. Gdzie téj miłości, gdzie uczucia niémasz — tam równowagi nigdy nie będzie.

Myśl emancypacyi kobiét atoli ma inny jeszcze powód, a ten powód leży w złém lub w niestosownem wychowaniu i wykształceniu kobiét.

Niepraktyczne wychowanie kobiet usuwa je zupełnie od życia, które je otacza — ogranicza je na życiu salonowém, nudném, czczém — bo ujętém w formy — a w formach wszelki duch obumiera. Lepsze czucie kobiét oburzyło się nato próżniactwo estetyczne, i odezwało się w sercach kobiét to przekonanie, iż każdy i każda są powołani do pracy odpowiedniéj usposobieniu i sile każdego. Głos to lepszéj natury kobiet zapragnął emancypacyi. Podobnież rzecz się ma z wykształceniem: kobieta staje się matką — a jako matka, musi prowadzić i kształcić swoje dzieci: Kobiéta, matka moja, coby jéj potrzeba było ażeby swemu obowiązkowi zadosyć uczynić mogła, — czuje; — ale wykształcenie błędne, powierzchowne, nie dało jéj środków do wypełnienia tego, do czego od natury po-

wołaną została. Daléj, kobiéta chce, pragnie i żąda z całą słusznością, aby mogła zrozumiéć tych, których szczerze ukochała; — ona pragnie ich śledzić, iść za nimi myślą i sercem: — ale niestety, wykształcenie, słabe, niedokładne, wspierać nie może jéj żądania — zbywa jéj przeto na możności wzniesienia się myślą do tych, którzy w jéj sercu panują — Wykształcenia niedostateczne kobiét uczucie téj umysłowéj niezdolności, przyczyniło się również do żądania emancypacyi.

Te są dwie ważne i słuszne przyczyny, dla których myśl emancypacyi powstała i powstać musiała — wszelkie inne powody, jak nam się zdaje, wypływają z tych dwóch — ale nie wszystkie te powody są również prawe, jak te, któreśmy wymienili.

Wyprowadziwszy powody, z jakich emancypacya powstała, tém samém wskazaliśmy, czém emancypacya jest i czém być powinna, a czego żądać ma rzeczywiście. Emancypacya kobiét szlachetna, żąda uczucia, żąda wychowania i wykształcenia takiego, jakie kobietę uzdolnić może do wypełnienia swych obowiązków — do połączenia strony estetycznéj z uczuciem i rozumem.

Tak pojmując emancypacyą kobiét, dziwić się nie będziemy bynajmniéj, iż jéj żądają — iż pracują nad wyświeceniem swych praw, nad urzeczywistnieniem swych żądań i celów. Owszem, dziwićby się należało, gdyby kobiety tego nie pragnęły, czego w gruncie rzeczy pragną. Dlaczegóż jednakże emancypacya ta, którąśmy z słusznych powodów wywiedli, tak wielu, a prawie wszystkich oburza? Oto ztąd, iż żądania emancypacyi kobiét połączyły się z żądaniami naturze kobiét przeciwnemi — iż kobiety stanęły na stanowisku sobie obcém -- iż emancypacya sprowadzoną została do rzeczy powierzchownych, iż kobiety, które emancypacyi żądają, wysuwają się nieledwie z wszelkiéj uroczéj kobiecości.

Rozbierzmy kilka z głównych powodów, które emancypacyą kobiet poniżają:

I tak najprzód żądają zmiany w podstawach małżeństwa — wieczność, przysięgi chcą zamienić w czasowe przyrzeczenie — szczęście rodziny usuwają z przed uwagi dla dogodzenia kapryśnym wrażeniom osobistym. Niezawodnie prawa małżeństwa dla ludzi, u któ-

rych interes osobisty wszystko przeważa, są niedogodne — albowiem ten interes zmienia się według okoliczności, a węzły małżeństwa wieczne. — Oniby chcieli tylko swego szczęścia, bez względu, czy-to dla ich dzieci, dla społeczeństwa, będzie zbawienném albo zgubném.

(Dokończenie w przyszłym Numerze.)

KRONIKA PISMIENNICZA POLSKA

Zabawka abecadłowa p. Stanisława Jachowicza. 1848 *Warszawa.*

Ilekroć popadnie nam w ręce książka ozdobiona imieniem Stanisława Jachowicza, tylekroć pewni jesteśmy iż coś nowego a zawsze pożytecznego w sobie mieści.

Ten prawdziwy przyjaciel dzieci, którego staraniem jedno już pokolenie wyuczyło się mówić i pisać poprawnie po polsku, ten niestrudzony pracownik, wydał — maleńką co do objętości — ważną co do nowości pomysłu książeczkę, pod napisem *zabawki abecadłowéj.*

Dziś, gdy z początków nauki, staramy się uczynić rozrywkę, nie zaś jak to dawniéj bywało -- męczarnię — gdy tysiące głów przemyśla nad ułatwieniem zasad służących za podstawę każdéj umiejętności — niemałą przysługą dla matek i nauczycieli stanie się książeczka powyżéj wzmiankowana.

Są dzieci żadnych ułatwień niepotrzebujące; takie obeszłyby się bez mistrza i szkoły; wskazać im drogę — a pobiegną daléj same lub nawet bez przewodnika puszczą się w świat wiedzy i dojdą o własnéj sile do mety.

Ale niewszystkich Bóg taką udarował zdolnością. Większość mozolnie przyswajać sobie musi naukowe przeszłości skarby — większości zatém ułatwienia potrzeba.

Wiemy z jaką to nieraz pracą przychodzi wyuczyć dziecię czytać. Co to liter w obrazkach, co figlów powynajdywano, dla zachęcenia niezbyt skorych swawolników do zwrócenia uwagi na ważną naukę, która jest kluczem mądrości ziemskich — na abecadło.

Daremnie częstokroć przesuwamy przed oczyma dzieci śmieszne postacie poskręcane w A. — S — W. dziecię pobawi się niemi chwilkę, abecadła wszakże nie spamięta — Próżne wysilenia sztuki rysowniczéj! cel chybiony.

Niéma téj arlekinady w zabawce abecadłowéj; pan Jachowicz zupełnie nowym, nieznanym dotąd zadziwił nas pomysłem. Wszystkie drukowane duże litery sprowadził do pięciu krések i dwóch kół, które sobie dziécię w zabawce wycinać może, układając z nich przy stosownéj rozmowie matki, dwadzieścia cztéry liter i razem ucząc się brzmienia i nakreślania tych literek.

Zdumiewające prostotą i jasnością przykłady, jakich w téj książeczce używa matka, rozmawiając z małym uczniem — wszystkie inne matki naśladować lub zmieniać mogą podług wrodzonéj pedagogiki, która tylko sercu macierzyńskiemu objawiona.

Lecz użycie wyciętych znaczków do układania przez dziécię abecadła — każda zastosować bardzo szczęśliwie może, a jestto własny pomysł pana Jachowicza, który wszelkie ojcowskiego serca, skarby, wylewa na młode wzrastające pokolenie - i w każdéj nowéj myśli, w każdym piśmiennym utworze pamiętny ewanielicznéj rady — staje się prostym jak dziécię, by łatwiéj do serca i pojęcia dzieci przemówić; by większą korzyść ulubiona mu młodzież odniosła.

NOWINY.

Kramsztik nauczyciel Szkoły Rabinów, przełożył na język żydowski *Kodex kar*.

Szifer Fajwel wydaje w Warszawie po hebrajsku Historyą Napoleona (Tołdas Napoleon). Już jest drugi tom w druku.

Szymanowski przełożył na język polski z fran. Panoramę wszystkich podróży naokoło świata, która już kończy się wytłaczać w drukarni Jaworskiego.

Kraszewski z Dr. Wolfgangiem, wydawcą *Ondyny*, ogłasza szkic historyczno-lekarski p. t. *Druskienniki*. Dzieło to drukuje się w Wilnie.